

WIKTOR LEMIESZ

Na tropach zbrodni f a s z y z m u

Tajemnica śmierci 10.000 chorych w szpitalu obrzyckim

Obrzyce. Malownicze osiedle położone w pobliżu Międzyrzecza. Ogromny kompleks budynków pokrytych czerwoną dachówką.

Od kilkudziesięciu lat mieści się tu duży zakład dla nerwowo i psychicznie chorych. I dziś po starannie wygracowanych ścieżkach uwijają się sylwetki lżej chorych. Ciężko chorzy przebywają w pawilonach na leczeniu. Nie brak wśród nich nieszczęśników, którzy przebywają w szpitalu już od kilkunastu lat i jako chronicy pozostaną tu do końca dni swoich. Większość pacjentów wraca jednak po krótszym lub dłuższym leczeniu do swych rodzin i do pracy. Ludzie ci, zdobywają tu od nowa możliwość korzystania z życia oraz z radości, jakie ono przynosi, i stają się znowu pożytecznymi członkami społeczeństwa...

Fabryka śmierci

Tak działo się dawniej i tak dzieje się dziś. Ale tak nie było zawsze. Był taki straszny czas, kiedy szpital dla chorych umysłowo w Obrzykach przestał być zakładem leczniczym, a stał się jeszcze jedną **fabryką śmierci**.

Jest rzeczą znaną, że hitlerowcy jeszcze w latach przedwojennych realizowali zbrodnię zwaną „akcja Eutanazja”. Polegała ona na zadawaniu śmierci osobom nieuleczalnie chorym.

Jednakże na przełomie 1942 i 1943 roku nastąpiła wzmożona kampania przeciwko tak zwanym nieprodukcyjnym konsumentom („nutzlose Esser”). W owym to czasie na całym terenie Tysiącletniej Wielkiej Rzeszy Niemieckiej przystąpiono do masowego mordowania starców i osób chronicznie chorych, a zwłaszcza chorych umysłowo.

Domy starców i szpitale zamieniły się wówczas w katownie, w których setki tysięcy bezbronnych ludzi wszystkich niemal narodowości zamieszkujących Europę znalazły śmierć. Jedną z tych fabryk śmierci stał się szpital w Obrzycach.

Tak się złożyło, że po zbrodniach popełnionych w tej jednej z niezliczonych mordowni hitlerowskich pozostały materialne ślady. Na pobliskim cmentarzu zachowały się skromne mogiły wyglądające na pojedyncze groby. Gdy jednak rozkopano jedną z nich – grób nr 482, znaleziono w nim szczątki 17 zwłok rozrzuconych w sposób bezładny...

Dalszych prac ekshumacyjnych potem już nie przeprowadzano, bo prawdę mówiąc nie było i potrzeby. Rzecz bowiem w tym, że zachowały się, choć nie w pełnym komplecie księgi zgonów Urzędu Stanu Cywilnego w Obrzycach z lat 1942-1944.

Upozorowany Urząd i fałszywe księgi

Rysem najbardziej charakterystycznym dla obozu w Obrzycach było to, że większość chorych stanowili Niemcy, choć nie brakło i pacjentów innych narodowości – Polaków, Rosjan, Francuzów, Holendrów, Belgów itp.

Temu chyba przypisać należy fakt, że hitlerowcy, chcąc zachować pozory legalizmu, prowadzili na niby księgi zgonów.

Trzeba przecież było wydawać rodzinom niemieckim, choćby dla otwarcia postępowania spadkowego, czy stwierdzenia zmian zaszytych w stanie cywilnym, odpisy aktów zgonu rodziców, dzieci, czy współmałżonków. Aby jednak nagły wzrost ilości zgonów w Międzyrzeczu nie zwrócił uwagi osób niepowołanych, urządzono się w ten sposób, że... w samych Obrzycach utworzono Urząd Stanu Cywilnego, obsadzony przez SS-owców.

Te właśnie księgi, stały się mimo woli faszystowskich oprawców dowodem zbrodni dokonywanych nad chorymi.

Straszliwe liczby

Dziś przebywa w szpitalu obrzyckim około 1800 chorych. Spośród nich umiera co roku przeciętnie od 40 do 50.

W czasie wojny ilość chorych osiągała około 2000, ale równocześnie w ciągu 10 miesięcy 1942 roku (a ściślej mówiąc 8 listopada, bo ostatnia księga zaginęła) zmarło 515 osób.

W roku 1943 ilość „zmarłych” wzrosła do 1990. Natomiast w okresie od 1 stycznia do 19 września 1944 zapisano w sześciu grubych tomiskach aż 3241 osób, zmarłych rzekomo na najrozmaitsze choroby. Jeśli więc np. w styczniu 1942 r. zapisano do księgi zgonów 27 chorych, to w styczniu następnego roku liczba ta wzrosła do 76, a w styczniu 1944 roku do 408. Podobny wzrost zaobserwować można w przekroju i pozostałych miesięcy.

W styczniu 1944 roku były dni, w których umierało prawie tyle osób, co w ciągu całego stycznia 1942 r. kiedy śmiertelność wcale nie była mała. I tak np. 10 stycznia 1944 roku „zmarło” 21 osób a 11 stycznia – 23. Natomiast „dziwnym trafem” w dniu

1 stycznia (Nowy Rok) nie zmarł nikt, 2 stycznia 1 osoba, 9 stycznia 8 osób, a 16 i 23 stycznia po dwóch chorych. Dodajmy, że mowa tu o niedzielach kiedy to zbrodniarze woleli odpoczywać niż zabijać. Na uwagę zasługuje fakt, że akty zgonów wypełnione są w sposób jak najbardziej formalny. Podawane są imiona rodziców, daty i miejsca urodzenia oraz daty, a nawet godziny i minuty zgonu.

I tak np. pod datą 27 października 1943 r. wśród kilkunastu zmarłych figuruje pod numerem 1450 nazwisko Karoliny Kühn, która zmarła rzekomo o godz. 11.45. Następnego dnia 28 października nie zmarł nikt. Natomiast 29 października pierwszy zgon (Niny Hermann) zanotowano o godz. 7, następne — Emmy Konrad i Marii Müller o godz. 7.15, Anny Dauker o godz. 7,45 itd. Łącznie tego dnia zarejestrowano śmierć 14 osób mężczyźni i kobiet, starców i dzieci i to przeważnie w odstępach piętnastominutowych. Urzędnik prowadzący zapisy nie wykazywał więc w tej dziedzinie większej inwencji.

W aktach zgonu podawano również skrupulatnie rzekomą przyczynę zgonu. Pod tym względem rejestrator zdobył się na zdumiewającą pomysłowość. Podawał bowiem najprzeróżniejsze choroby: grypę, zapalenie płuc, uwiąd starczy, wyczerpanie, atak serca, choroby jelit, żołądka, nerek itp.

Zeznania nocnych świadków

Tymczasem w ogromnej większości wypadków, przyczyna zgonu była zupełnie inna. W języku personelu szpitalnego mówiono bowiem krótko o zmarłych, że zostali „abgespritzt” — co można przetłumaczyć na język polski jako zgon wskutek śmiertelnego zastrzyku.

I istotnie tak było.

Dziś jeszcze w szpitalu obrzyckim zatrudnionych jest dwóch pracowników, którzy w roku 1940 zostali tu skierowani na robotę jako jeńcy wojenni. Mieczysław Darnos, dziś pomocnik elektryka, pracował w latach II wojny światowej jako palacz w kotłowni szpitalnej. Stanisław Szyszka — obecnie przewodniczący rady zakładowej przebywał wraz z innymi jeńcami polskimi i francuskimi na gospodarstwie przyszpitalnym. Zostali tu zesłani na roboty przymusowe.

Obaj opowiadają, że warunki, w jakich znajdowali się chorzy, pozostawiały od początku wiele do życzenia. Kiepskie wyżywienie, brak leczenia i brak właściwej opieki nad chorymi spowodowały już w latach 1940–1942 nienormalnie wysoką śmiertelność. Jednakże w końcu 1942 roku nastąpiło przekształcenie szpitala w obóz śmierci.

Katowski reżym

W owym czasie dyrektorem szpitala mianowany został niejaki Walter Dombrowsky, SS-owiec zatrudniony dawniej jako pisarz w jednej z komunalnych kas oszczędności. Dombrowsky przeszedł już „staż przygotowawczy” w Kaliszu, gdzie wymordował wszystkich chorych.

Dombrowsky zachowywał się butnie i jak stwierdza St. Szyszka potrafił strzelać do mieszkań pracowników, którzy nie zaciemniali należycie swych okien. Po przybyciu do Obrzyca opracował bezlitosny regulamin, na mocy którego chary zdolni do roboty musieli ciężko pracować przy budowie dróg, rowów ochronnych i ta bez względu na pogodę. Otrzymywali przy tym nad wyraz nędzne wyżywienie, a obchadzono się z nimi brutalnie. Bicie i kary były na porządku dziennym. Część chorych — przede wszystkim

jeńcy cudzoziemscy oraz Niemcy zakwalifikowani jako „polityczni przestępcy” pracowali pod konwojem strażników uzbrojonych w karabiny, chętnie robiących z nich użytek.

Jako szczególny brutal zasłynął pielęgniarz Emil Schmidt zwany przez swoich i chorych „Revolverschmidt”. W archiwum szpitalnym zachowało się wspomnienia jednego z ocalałych lekko chorych, Niemca – Ralfsa, który pisze m. in. „Revolverschmidt” bił pewnego dnia polskiego jeńca kolbą karabinową po głowie tak, że zerwał mu szeroki pas skóry, a koszula i ubranie zalane zostały krwią. W dwa dni później został jeńiec „ausgemerzt” (wybrakowany, wyeliminowany). Schmidt zameldował, że Polak zaatakował go i chciał mu wyrwać karabin z ręki”.

Dyrektor Dombrowski – przypominają sobie świadkowie – często mawiał, że „chorzy muszą być wyciśnięci jak cytryna, do ostatniej kropli”. I tak postępowano z nimi.

Gdy zaś pracujący pacjenci wpadali już w stan zupełnego wyczerpania, spotykał ich ten sam los, co ciężko charych – Eutanazja, czyli „dobra” bezbolesna śmierć.

Eutanazja

Akcję Eutanazja przeprowadzali pracownicy narodowości niemieckiej. Medicinelrat doktor Mootz, naczelny lekarz szpitala wyznaczał na wniosek kierowników oddziałów chorych podlegających eksterminacji. Otrzymywali oni wieczorem w zupie jakiś preparat (prawdopodobnie dawkę skopolaminy wymieszanej z morfiną). Po jego zażyciu chorzy stawali się zupełnie bezwolni i pielęgniarze odprowadzali ich na noc do specjalnych bloków – mężczyzn do budynku 19, a kobiety do budynku nr 8. Tam, tego samego wieczoru lub rano otrzymywali zastrzyk, po którym w ciągu godziny lub dwóch umierali. Ze zwłok ściągano odzież, po czym kładziono je do grobów jedne na drugich w kilku warstwach. Czasem umieszczano je w papierowych workach, a niekiedy przykrywano tylko grubym nasyconym smołą papierem.

Rodziny powiadamiano o śmierci tak późno, że z reguły spóźniały się na pogrzeb. W poszczególnych wypadkach, gdy umierał jakiś bogaty pacjent, czy bardziej znana osobistość, zawiadamiano rodzinę w terminie. Gdy krewni przyjeżdżali, szpital sprzedawał im ozdobną i drogą trumnę i sprawiał zmarłym normalny pogrzeb. Ale po wyjeździe rodziny wyjmowano trumnę z ziemi, a zmarłego chowano po raz drugi. Tym razem już tak jak wszystkich. Trumnę natomiast sprzedawano jeszcze parokrotnie przy następnym „okazjach” rodzinom charych Niemców.

Starsi mieszkańcy Międzyrzecza przypominają sobie, że w lipcu 1945 r. odbyła się w sali kina Świt przed Sądem Wojennym Armii Radzieckiej publiczna rozprawa. Toczyła się ona przeciwko pielęgniarce Armandzie Ratajczak i pielęgniarzowi Jeschke, którzy nie zdążyli uciec wraz z wojskami hitlerowskimi i w oparciu o zeznania świadków oskarżeni zostali o morderstwo. Ratajczak przyznała się do zamordowania przy pomocy zastrzyków około 1000 chorych, a Jeschke do uśmiercenia 120 pacjentów. Oboje zostali na mocy wyroku sądowego rozstrzelani, lecz potem do sprawy tej już nie wracano.

Śmiercionośne ampulki

Mieczysław Darmosz stwierdza, że kilka razy zjawiał się w kotłowni jakiś niemiecki pielęgniarz, który trzymał w ręku koszyk zawierający około 100 do 200 pustych ampulek po zastrzykach o pojemności ok. 2 cm³. Darmosz otwierał palenisko pieca na polecenie pielęgniarza, który własnoręcznie wrzucał do niego ampulki i po dłuższej do-

Materiały i źródła

piero chwili odchodził. Te właśnie ampulki zawierały resztki trujących substancji, zapewne jakichś związków chloru, przy pomocy których mordowano pacjentów.

Nie zawsze zresztą uciekano się do tak wyszukanych metod. Pewnego dnia np. w końcu 1942 r. wywieziono 500 chorych, którzy zostali zamordowani w pobliskim lesie. Nie pozostał po nich żaden ślad...

* * *

Trudno oczywiście określić w sposób zupełnie ścisły, ile osób w latach drugiej wojny światowej zostało zgładzonych w obrzyckiej fabryce śmierci. Jednakże na podstawie zapisków owego osobliwego „Urzędu Stanu Cywilnego” w obrzyckim szpitalu oraz relacji o morderstwach dokonywanych poza obozem można ocenić, że ilość ofiar przekroczyła na pewno 10.000.

Za ich śmierć odpowiedziało dopiero dwoje morderców.

Co dalej?

A co dalej? Gdzie są pozostali: dr Mootz, nadpielęgniarz Winter, pielęgniarz Erdmann i inni?

Gdzie podział się pielęgniarz Emil Schmidt zwany Revolverschmidt?

Czy zamiast odpowiedzieć gardłem za swe zbrodnie nie gardłują oni wraz ze swymi współnikami w zachodnio-niemieckim chórze rewizjonistycznym?

Czy nie krzyczą znowu o utraconej „Heimat” i o konieczności wznowienia walki o ich „Lebensraum”, a może raczej o ich „Totenraum”?